

PRAWO LABIRYNTU

2 IX XI 68.

92: 16⁴⁰ 17⁰⁰

63

Wyprzedzałem ich w ciepłym jesiennym słońcu. Wyprzedzałem imiona, rozmowy i uśmiechy, delikatne profile dziewcząt, brzośchy piwoszków. Ocie- rałem się o równiutkie żywopłoty, o karoserie samochodów. Musiałem iść stale pod słońce i asfalt świecił mi w oczy i cieszyłem się, że jest tak przejrzyste i świezo w cudownym mieście, do którego szedłem niezmiernie długo. Tuż obok chodnika płynęły przez jasność dwa piękne konie. Prowa- dził je stary człowiek odziany w coś, co dawniej było mundurem. Dotknąłem lśniącego boku karego, ale on wcale tego nie poczuł. Szarpnął się tylko na zgrzyt tramwaju, pociągając za sobą ciemnego kasztanka i człowieka w mundurze. Na moment zostałem w tyle, potem znowu zrównałem się z tą trójką i minąłem ją nie oglądając się. I nie oglądałem się już później, tylko ten jeden raz, kiedy zobaczyłem zarys gmachu szkolnego, przez moje myśli przecisnęła się jakaś nutka bardzo młodego uczucia. Ale zdławiłem w sobie tę iskierkę od razu, miałem wprawę w zapieraniu się wszystkiego co było mi drogie. Tam, skąd wracałem, zniszczyłem w sobie uśmiech i śpiew, lekkość stąpania, pogodną twarz. Więc teraz, kiedy po latach szedłem ulicami mego miasta, nie zatrzymałem się przed katedrą i nie wstąpiłem do nikogo. I nie był to lęk przed konfrontacją. To była pogarda dla cieni.

Spieszyłem się coraz bardziej, musiałem tam dojść punktualnie, jak obiecałem. Jeszcze przedwczoraj śnił mi się ten dom, a ja na sny nie miałem przecież wpływu, tylko one przetrwały wszystko. I znowu przedwczoraj powtórzyło się, nie wiem skąd. Najładniejsza willowa dzielnica, so- lidne, wymyślne nieraz ogrodzenia, zawsze podmurowane, z prętami żelaz- nymi albo sztachetami z drewna. Ogrody. Sady i owoce. Tamten dom był mi bardzo znany, wszedłem z ulicy przez bezdźwięczną furtkę, w ogrodzie nie było nikogo, szedłem betonowym chodnikiem, a dalej było parę schod- ków. Przy samym wejściu odwróciłem się, ulicę przemierzały dwie starsze panie w czerni, z książeczkami do nabożeństwa. Ale już otwierały się drzwi, z jasnego drzewa, ogromne, rzeźbione, z małym okienkiem pośrodku. Zamknąłem je za sobą, wszystko w tym domu zamykało się bardzo cicho, ka- mienne rzeźby w holu były niezwykle ujęte, cienie i chłód podzieliły między siebie te posągi, więc teraz poczułem się między nimi jak wytro- pione zwierzę. Świadomość, że one są także poza moimi plecami była o wie- le bardziej niepokojąca, dlatego prędko zdecydowałem się na wejście do środ- ka. Kiedy już byłem blisko drzwi, odwróciłem się. I nagle wystrzelono do mnie lustrem. Zachwiałem się, w lustrze nie było mego odbicia, to by- ło bardziej straszne niż głosy rzeźb, ujadających teraz w różnych tona-

cjach milczenia. Wtedy upadłem do przodu na miękki dywan. Trafiono mnie celnie, więc zawyłem boleśnie, potem jęczałem długo, zboczyłem tym jękiem całą puszystość tego domu. Nie wiem ile czasu minęło zanim opanowałem się. Wstałem szybko, potem całą siłą ramienia rąbnąłem czymś twarzą w lustro. Przygwoździłem pustkę do ściany, chwiejnym krokiem poszedłem dalej, do innego pokoju, nalałem sobie koniaku, bo byłem już prawie trzeźwy. Potem dopiero otworzyłem i zamknąłem za sobą jeszcze jedno i drugie drzwi. Za tymi drugimi mieli być oni, ale tam także było pusto. Zawsze przyjmowali mnie tu, sprawdzali czy mam pieniądze. Tylko jeden miał twarz. Dwaj inni nawarstwiali na sobie cienie, patrzyli we mnie szerokimi barami, tylko włosy na powitanie lśniły im w słońcu.

Pamiętałem, jak żelaznymi storami ścinali to nabrzmiałe słońce, jak przez chwilę w ciemności dotykałem rewolweru. Ale już błyskał żyrandol. Człowieka z twarzą znałem od dziecka, ^{to} był ~~Robert~~ Eddi, miał bardzo bladą cerę ^{wyjątkowo} i słowa niewiele mówiące. Tylko ten jego uśmiešek nie podobał mi się, wielkie portrety uczyły się go na pamięć, zachwycały się złymi błyskami jego oczu, tak jasnych, że prawie białych.

Teraz było tu pusto, wszyscy pewno uciekli przede mną, bo byłem pijany i miewałem ataki. Oni nie mogli przewidzieć, że pomimo takiego stanu wiedziałem tym razem czego chcę. Chciałem tak bardzo niewiele. Eddi był bratem Ilony i miał mi powiedzieć dokąd wyjechała. Dokąd uciekła ode mnie i dokąd nigdy uciec nie mogła, choćby wyjechała najdalej. Zawsze wracała po kilku dniach, ale tym razem miałem jakieś przeczucie, że potrwa to dłużej. I opadło mnie to mgliste wprawdzie, ale coraz bardziej dotkliwe poczucie winy. Sączyłem najlepszy koniak Eddiego ~~Robert~~, gdy usłyszałem wchodzącego człowieka. Odwróciłem się raptownie. Przede mną stał Robert, patrzył mi prosto w oczy. Wyciągnąłem z kieszeni zdjęcie Ilony, podsunąłem mu pod nos.

- Czy znasz tą kobietę? - zapytałem, a kiedy nie odpowiedział, zapytałem jeszcze raz.

- Ta fotografia nie żyje - odezwał się głucho - za długo była u ciebie.

Spojrzałem na mgły kartonik. Naprawdę, i ja zobaczyłem ten wyraz, widziałem to coraz ostrzej. Ale nie mogłem przyznać się do tego, więc roześmiałem się szyderczo przypominając Robertowi coś, o czym nikt nie miał prawa mówić bezkarnie. Myślałem, że wreszcie mnie uderzy, ale on spochmurniał tylko jeszcze bardziej i usiadł ciężko w fotelu. Zakrył dwoma rękami twarz, a ja napełniłem szklankę. Wziął ją, takim zachłannym ruchem przytknął do ust i znowu popatrzył na mnie, aż zrobiło mi

się dziwnie.

- Ilona odeszła - powiedział nieswoim głosem i odetchnął głęboko.

- Wiem, odeszła ode mnie. Z tobą zostałaby pewnie na zawsze.

Chciałem go zranić i rozdrażnić, ale on reagował zupełnie inaczej niż powinien. Robert kochał Ilonę, była kiedyś dla niego wszystkim. Zabrałem mu ją, a on nie zmienił się, nie istniały dla niego inne kobiety.

- Wypij, mój drogi, jesteś już bardzo wielki i możesz dużo wypić - odezwałem się słodko. Przez długą minutę uśmiechałem się do niego, do jego myślenia, aż znowu dotknęła mnie tamta złota zamieć. "Ilono, Ilono. Dlaczego tak postąpiłaś, czy nie wiesz, czy nie chcesz wiedzieć, że nigdy nie kochałem cię tak jak teraz?" Wciąż uśmiechałem się do Roberta, dolałem mu do szklanki. Wiedziałem. On także myśli o niej, będzie tak myślał zawsze. Będzie się tego wypierał przed całym światem, ale nie wyprze się przed sobą. A może przypuszcza - myślałem leniwie - że teraz mu się uda, że ona teraz wróci do niego?

- O czym tak dumasz, mój błędny rycerzu - przerwałem wreszcie nieznośną ciszę - chciałbyś się może upić?

Oparłem nogi o stół, ciągle szczerzyłem zęby aby pokazać, że nic sobie z niczego nie robię, że nic się nie zmieniło.

- Ilona nie żyje - powiedział nagle Robert.

- Fotografia nie żyje, fotografia - pouczyłem go - sam przecież widziałeś.

- Ona ~~ta~~ także. Już jej nie ma.- Robert mówił to wszystko szep-tem, patrzył mi w oczy błagalnie, zmęczone miał te oczy, wyglądał jak po ~~nie~~ niezwykłym przepiciu. Rozzłościłem się nagle, miałem już dość jego żartów i złamanego głosu.

- Wynoś się - powiedziałem - wynoś się do cholery, nie jesteś dowcipny.

Wtedy wstał. Wysoki był, bardzo silny. Nikomu by nie przepuścił, zwłaszcza mnie. Ale nie ruszył wcale w moją stronę. ~~Sia~~

- Słuchaj, ty także ją kochałeś, wszyscy ją tu kochali. Powiedz, że także ty...

Włos mi się zjeżył od tego gadania, straszliwe uczucie przeniknęło mnie teraz, wytrzeźwiałem zupełnie, to tylko z wściekłości zatańczyły przede mną obrazy i okna. Skoczyłem mu do gardła, byłem bardzo szybki, ale wyczułem, że on wcale nie miał zamiaru uchylić się przed ciosem.

Upadł na wznak, a ja z wielkim trudem powstrzymywałem się aby nie kopnąć go jeszcze. Wybiegłem na ulicę, ale przecież nikt mi nie powiedział gdzie mam jej szukać i stałem tak bardzo długo, aż wściekłość przeszła w wielki żal nie wiadomo do kogo, trwający przez resztę nocy i dzień następny.

Tak, śnił mi się ten dom wiele razy, lecz nigdy jeszcze tak wyraźnie jak właśnie przedwczoraj. Więc szedłem teraz samutkiem środkiem słonecznego wrzesnia, tą drogą chodziłem kiedyś do szkoły, a ona mieszkała w przeciwległej części dzielnicy. Przypominałem sobie tamte lata, kiedy nie znaliśmy się wcale. Ona z Robertem już na rok przed maturą tworzyli doskonałą parę, byli bardzo piękni. Naturalnie kłaniałem jej się, bo była dziewczyną Roberta i w ogóle przyjemnie było ukłonić się jej i uśmiechnąć do niej. Chodziła do innego oddziału, a ja do tej samej klasy co Robert, dopiero od dziewiątej, bo przedtem wyrzucali mnie z różnych szkół, dopiero na interwencję dziadka przycięli mnie tutaj. Przypominałem sobie tamte najpiękniejsze sztubackie lata bardziej po to, aby się sprawdzić, niż z wewnętrznej potrzeby. I nic już się we mnie nie poruszyło, byłem bardzo spokojny, nawet kiedy wielka ulica wystawiła mnie na jeszcze jedną próbę. Zobaczyłem tego drobnego, siwego człowieczka. Byłem kiedyś jego najlepszym uczniem, a on moim najlepszym profesorem. Myślałem, że nie zauważy, ale on poznał mnie, i uśmiechnął się szeroko, widziałem, uczynił taki ruch jakby zamierzał podejść do mnie. Kiedy jednak minąłem go bez żadnego spojrzenia i słowa, zatrzymał się i zdjął okulary, bardzo niezdecydowany. Potem zadreptał w miejscu i poszedł w swoją stronę, a ja w myślach starałem się tylko wyszydzić to jego starcze złudzenie i po chwili zapomniałem o nim zupełnie, bo oto wchodziłem w JEJ ulicę.

Po obu stronach rosły klony, chodniki były prawie puste. Chciałem biec, ale tylko przyspieszyłem kroku; wbijając wzrok w tamto miejsce nie mogłem już tak łatwo zapanować nad sobą.

Wyobrażałem sobie ją teraz, ^{ale} jak idzie chodnikiem po drugiej stronie, zamysłona i jakby senna, już pozbawiona płaszcza złotych włosów. Nie widać jasnych oczu, bo patrzy w chodnik, a właściwie to patrzy daleko i nie uśmiecha się wcale do swoich myśli. I gdybym podszedł bliżej, zauważyłbym pewnie, że płakała w nocy, albo nawet rano, choć dzisiaj taki słoneczny dzień. Ja idę naprzeciw, choć po drugiej stronie i ona mnie nie dostrzega, dopiero w ostatniej chwili staje i zupełnie opuszcza dłonie. Stoimy twarzą w twarz i nagle ona biegnie do mnie

i znowu płacze, Ilona zawsze dziwiła się jak można płakać z radości... "Czekałam na ciebie" mówi zwyczajnie, a ja wplątałam palce w jej włosy, przechylałam jej głowę. Całuję ją i jednocześnie boję się, że nikogo nie ma na tej ulicy. Już jestem pewien, że to zasadzka. Więc uciekamy prędko, bo ktoś mierzy do nas. To nie jest Robert, ani Eddi, ani nikt ze znajomych. Nie wiem kto to jest.

Wyobrażałem sobie to wszystko przez moment, dłużej nie mogłem o tym myśleć, chciałem tylko ze wszystkich sił zobaczyć ją naprawdę.

Przedemną długie cienie zakrywające chodnik, jacyś ludzie wyłoniili się spoza rogu, po drugiej stronie poruszały się tylko liście drzew. Otworzyłem bezdźwięczną furtkę, w ogrodzie nie było nikogo. Wszedłem po schodkach, potem pchnąłem siężkie, rzeźbione drzwi z jasnego drzewa. W hollu było zupełnie cicho, tylko posągi przyjrzały mi się napastliwie. Nie popatrzyłem w lustro tym razem. Otworzyłem drugie drzwi i kiedy stanąłem w nich, dostrzegłem ^{tych} dwoje, ~~innych~~ Człowiek wyglądający na emeryta siedział w fotelu i odkładał właśnie gazetę. Kobieta, zapewne jego żona, wyszywała coś i także teraz odłożyła robótkę. Oboje zwrócili ku mnie zdziwione twarze. Mieli twarze, byłem tego pewien. Zaskoczony trochę tym wszystkim, wymamrotałem coś na powitanie i postąpiłem krok naprzód. Wiedziałem, że Ilona i Eddi nie mają rodziców, że ich rodzice zginęli gdzieś bardzo daleko stąd i że nikt nie wie gdzie są ich groby. Wiedziałem także o tym, że Ilona ani Eddi nigdy nie sprzedaliby tego domu, więc pomyślałem, że ci ludzie to są ich krewni i to mnie trochę uspokoiło.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał układnie siwy człowiek.

Oboje w dalszym ciągu wpatrywali się we mnie z źle ukrywanym zdziwieniem. Przedstawiłem się zaraz, ale widocznie nie zrozumieli, bo złągodzili wyraz swoich twarzy o tyle tylko, ile nakazywała gospodarska uprzejmość.

- Jestem dobrym znajomym Ilony. Nic nie mówiła o mnie państwu? - zapytałem, a oni znów spojrzeli po sobie, jakby treść pytania była dla nich czymś zbyt zawiłym.

- Proszę pana, mieszkamy tu od dwudziestu paru lat - odezwała się kobieta - i nie przypominam sobie, aby ktoś z krewnych lub domowników nosił to imię.

Zrobiło mi się nieswojo.

- A Eddi? Gdzie jest Eddi? - Wyrzuciłem z siebie prędko te słowa, bojąc się odpowiedzi.

- Istotnie, mam na imię Eddi, młody człowieku, ale proszę wybaczyć, nie widzę związku...

Starszy pan przyglądał mi się z dobrotliwym uśmiechem. Dziwnie musiały brzmieć moje tłumaczenia; tylko służąca, która właśnie nadeszła, przysłuchiwała się naszej rozmowie uważnie.

- W tej dzielnicy jest wiele podobnych domów, łatwo się pomylić - powiedziała pani domu. Już nie byli tak bardzo zdziwieni, tylko ta służąca miała nęezwykle przenikliwe spojrzenie, bardziej ostre niż tante posągi.

- Może pan poda jakieś okoliczności, jakieś szczegóły, postaramy się pomóc - gospodarz zwrócił się do mnie przyjaźnie, zbyt przyjaźnie jak na mój gust.

- Nie wiem kim państwo jesteście - zacząłem od nowa, cicho, bardzo cicho. - Ale wiem napewno, że to właściwy adres.

Widziałem ich konsternację, starali się pokryć to zmieszanie jakimis opowiastkami. Wtedy podeszła do nich służąca.

- To dziwne, to bardzo dziwne, proszę państwa. Przedwczoraj - zawahała się - tak, o tej samej porze, kiedy państwa nie było, przyszła tu młoda kobieta i pytała o jakiegoś mężczyznę.

Przerwała na moment, a ja wbilem paznokcie w dłonie.

- Z opisu mógłby to być nawet pan - zrobiła ruch głową wskazując na mnie. - Była bardzo ładna - dodała jeszcze i zamilkła, a ja nie mogłem usiedzieć w miejscu. Byłem zupełnie oszołomiony tą sytuacją, wydawało mi się, że uknuto jakiś straszliwy spisek przeciwko nam obojgu. Trzeba jednak było się przemóc. Trzeba było przywołać uśmiech i wazyć starannie każde słowo.

- Czy przedstawiła się? - zapytałem.

- Zostawiła wizytówkę, zaraz przyniosę. Zapisałam na niej nazwisko tego, kogo ona szuka.

To było niespodziewane. Och, jak dobrze pamiętałem niewielkie, zgrabne wizytówki Ilony. Gospodarze milczeli, zupełnie zdezorientowani, wreszcie siwy pan chrząknął i poczęstował mnie cygarem, a jego żona znów zaczęła wyszywać. Oboje byli tak typową, mieszczańską, pocziwą parą, że nie mogłem im nie wierzyć. I nagle, kiedy tak siedziałem zatopiony w niewesołych myślach oczekując powrotu służącej -

usłyszałem warkot silnika, a potem głos kołatki. Podniosłem się i dojrza-
łem samochód, ~~pamiętałem~~ go dobrze. Zanim nadeszła służąca, do drzwi pod-
szedł gospodarz. Wprowadził ich. Weszli ~~tylko~~ dwaj, bez fartuchów, nie
wiadomo było na pierwszy rzut oka kim są, a oni nie próbowali nawet wy-
jasnić swej obecności w tym domu. Patrzyli tylko we mnie czujnym wzro-
kiem, skradali się do mnie.

- Przepraszam, panowie z policji? - zapytała pani domu, ale
jaśniejszy blondyn warknął tylko.

- Ze szpitala.

Potem zwrócił się do mnie.

- Pójdiesz dobrowolnie?

- Pójdę - odpowiedziałem krótko - ale nie dotykajcie mnie.

- To chodź - rzucił jaśniejszy i szedł teraz tyłem do wyjścia.

Ten drugi czekał aż opuszczę pokój.

~~- Ten pan jest ciężko chory, miał poważny wypadek - zwrócił
się do zastygłych w nieruchomych pozach właścicieli, dopiero teraz.~~

Wychodziliśmy przez ten ogromny holl, przez trzy schodki i betonowy
chodnik, kiedy na progu stanęła służąca.

- Proszę pana, ta wizytówka...

Zatrzymałem się, oni także. Jaśniejszy podszedł do ~~tej~~ kobiety, wziął
od niej coś, przedarł i rzucił na trawnik.

~~- Ten pan jest ^{to}groźny dla otoczenia - wyjaśnił ^{nie}lekceważąco -
no, dobrze, idziemy już.~~

Samochód jechał tą samą, tak dobrze ~~mi~~ znaną mi drogą, ani zbyt szyb-
ko, ani zaywolno, mogłem patrzeć przez okno, mogłem utrwalić sobie w pa-
mięci każdy szczegół, drobną twarzyczkę dziecka, opadający liść. Oni
wiedzieli że będę spokojny, ^{ten} jeden prowadził samochód, ^{ten} drugi ^{ten} siedział
przy mnie, obaj potężni, pewni siebie. ~~Na zakręcie w ich włosach odbiło
się słońce.~~

- Właściwie czego ta kobieta chciała ~~jeszcze~~ od ciebie? -
zainteresował się ten od kierownicy.

- To jego wołała, naszego przyjaciela - odezwał się jaśniejszy -
chciała mu dać jakąś wizytówkę.

- Po co? - zapytał ten drugi.

- Nie wiem - odpowiedział leniwie jaśniejszy - może on ci

to wytłumaczy.

Obaj spojrzeli na mnie. Ostatnie ich słowa były drewniane, przymkną-
łem powieki i pochyliłem głowę.

- To była ostatnia szansa - wypowiedzenie tego zdania było dla
mnie czymś niebywale trudnym - to była ostatnia...

- Zastrzyk? - zapytał jaśniejszy.

- Zastrzyk - zgodził się tamten.

Kątem oka dojrzałem jeszcze ludzi. Później twarze jasnowłosych roz-
płynęły się gdzieś i wydało mi się, że słyszę głos dzwonka. I starałem
się nie zasypiać, aby zdążyć. Tylko już dobrze nie wiedziałem dokąd,
czy po Ilonę, czy po nią, wirującą przede mną, tak bardzo nieuchwytną
złotą jesień.

ZBIGNIEW GŁODZIŃSKI

320-23